

Danuta Grajter

ul. Mickiewicza 44A m.21.



notatki z wywiadu

Urodziłam się w 1936-tym roku. Na Syberię wywieziono mnie 20-go czerwca 1941-go roku. Miałam wówczas niecałe pięć lat. Moja pamięć w odniesieniu do zsyłki ogranicza się jedynie do kilku fragmentów, zdarzeń, najczęściej względem siebie osobnionych. Często zapamiętane fakty są niezrozumiałe, bo i ja wówczas niewiele rozumiałam z tego, co się wokół mnie działo.

Byłam córką Longina i Jadwigi Szudrawskich. Urodziłam się i do czasu deportacji mieszkałam w Łomży.

Już w 1940-tym roku władze radzieckie zamierzały wywieźć mego ojca na Syberię. W porę ostrzeżony, ukrywał się przez jakiś czas w okolicznych wsiach, głównie w pobliżu Zambrowa. Wreszcie podjął próbę przedostania się pod okupację niemiecką, do Generalnego Gubernatorstwa. W czasie nielegalnego przekraczania granicy został ujęty przez Niemców a następnie osadzony na Pawiaku w Warszawie. Próby wydostania do stamtąd, czynione przez rodzinę, okazały się bezskuteczne. Z dalszych faktów, gromadzonych cierpliwie przez rodzinę wynika, że w dniu 22 września 1940-go roku został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie otrzymał numer obozowy 3918. Niestety, obozu nie przeżył. Zginął w osławionym bloku śmierci, bloku nr 11-cie.

Na Syberię pojechaliśmy więc bez ojca. Wywieziono naszą całą, dość liczną rodzinę. Wywiezieni zostali:

- Szudrawska Jadwiga, moja matka. Miała wówczas 25 lat;
- Szudrawska Danuta, to ja. Miałam wówczas 5 lat;
- Szudrawski Wiesław, mój młodszy brat. Miał wówczas rok.

Ponadto wywieziono z naszej rodziny:

- Szudrawski Hilary, mój dziadek. Niestety, nie przeżył zes-

(?)

łania. Zmarł na Syberii. (Ukrainie?)

- Szudrawska Jadwiga, moja babcia.
- Szudrawscy Tytus i Ryszard, bracia mojego ojca a moi stryjowie.

Pamiętam, że z nami jechali na Syberię:

1. pani Stefania Strynkowiec z dziećmi: Waldemarem i Regi-  
ną. /pochodzili z Łomży/.
2. państwo Chomentowscy z czteroletnim synem Tadeuszem.  
Również pochodzili z Łomży. Powrócili.
3. Rodzina Klusów: matka z dwoma synami. /wrócili/.
4. Jacyś państwo z Poznania lub poznańskiego: babcia, matka  
i dwie córki.

Nasz pobyt na w Rosji był o tyle nietypowy, że wiódł z Łom-  
ży do Kazachstanu /dokładnie do miejscowości Dżambuł/, następ-  
nie do Osady Martuka k. Czkałowa i wreszcie na Ukrainę / w są-  
siedztwie Mołdawii?/. Stąd wróciliśmy do Polski.

Dżambuł zapamiętałam jako małe osiedle, zamieszkałe w więk-  
szości przez Kazachów i Rosjan. Ludzie gnieździli się w małych  
lepiankach - ziemiankach. Ze strony miejscowych spotykaliśmy  
się z wyraźną życzliwością. Pamiętam, jak tuż po naszym przy-  
jeździe, Rosjanka przyniosła nam mleko od kozy mimo tego, że  
sama miała małe dzieci.

Głód towarzyszył nam nieprzerwanie przez cały czas nasze-  
go pobytu w Rosji. Wśród miejscowych był zwyczaj wykładania  
jadła na grobach / coś na podobieństwo białoruskiego obrzą-  
dku "dziadów" /. My, dzieci wygłodzone do ostateczności, kradliś-  
my to jedzenie z mogił.

Moja mama była osobą bardzo operatywną. Pamiętam, jak miała  
proso w żarnach. Z otrzymanej mąki wypiekała jakieś ciasteczka,  
które sprzedawała nocą na odległej o kilkanaście kilometrów

stacji kolejowej.

Władze sowieckie często maltretowały Polaków. Pamiętam, jak w wigilię 1941-go roku wieczorem wezwano mamę do pracy do elewatora. Przez całą noc musiała wykonywać bezmyślną pracę: przesypywać ziarno z jednego miejsca na drugie i z powrotem. Chodziło o to, aby Polakom dać zajęcie właśnie w tę noc, noc wigilijną. Pamiętam, jak przez całą noc czekaliśmy na mamę. Wróciła rano, niesamowicie zmęczona. W moim życiu była to najdłuższa i najsmutniejsza wigilia.

Tamtejsza, syberyjska zima była straszna: niebywale śnieżna i mroźna. My, dzieci, nie wychodziliśmy z ziemianek, całkowicie zaspanych śniegiem. Przez całe dni siedzieliśmy zawinięci w szmaty.

W tej miejscowości byliśmy niecały rok. Tu spędziliśmy zimę z 1941-go na 1942-gi rok.

Następnym etapem naszej syberyjskiej tułaczki był Martuk k. Czkałowa, Aktiubińskaja obłast'. Tu byliśmy już w maju 1942-go roku. Dowodem na to jest - w moim posiadaniu - tymczasowy paszport mamy / jestem w nim wpisana razem z bratem / o numerze 607/42, wystawiony w Martuk 10-go maja 1942-go roku.

Tu moja mama pracowała w artelu, w którym wytwarzano swetry i skarpety na potrzeby wojska. Pamiętam, że pomagałam w tym mamie. Pracowałyśmy nocą, przy kopcilce. Było to naczynie zalane sadłem z wetkniętym knotem/. Tu było nam nieco lepiej, bo był chleb. Ale głód nadal był straszny. Pamiętam Waldka Strynkowskiego, który spuchł z głodu tak, że wyglądał jak bąryłka.

Mój stryj - Tytus Szudrawski - poszedł do wojska do armii gen. Andersa. Opuścił nas jeszcze w Dżambule. Niestety, do Polski nie wrócił. Poległ pod Monte Cassino.

Mój drugi stryj - Ryszard - poszedł do wojska gen. Berlinga. Zanim jednak do tego doszło, musiał ukrywać się przed poborem do Armii Czerwonej. Przebywał w jamie, wykopanej w podłodze ziemianki, w której mieszkaliśmy. Natychmiast, gdy groziło jakieś niebezpieczeństwo, szybko tam wchodził. Otwór, tj. wejście do jamy było natychmiast maskowane. Ta groźna zabawa trwała przez cały okres od wyjścia wojska Andersa z Rosji aż do momentu, gdy mógł pójść do wojska gen. Berlinga.

Służbę w Wojsku Polskim rozpoczął od szkoły oficerskiej w Riazaniu. Tu zetknął się z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Po utworzeniu Drugiej Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego, przeszedł pod jego rozkazy. Już po wojnie, w 1947-mym roku, jako kapitan, był przy śmierci generała w Bieszczadach. Z tego powodu wstrzymywano mu awans na długie lata. Z trudem, ale doszedł do stopnia pułkownika. Przez wiele lat, będąc zatrudniony w Ministerstwie Obrony Narodowej, pracował w dyplomacji. Nie żyje od kilku lat.

Na Ukrainie było nam nieco lepiej, bo były owoce: winogrona i dynie. To właśnie stamtąd zapamiętałam "Baksze" - duże pola, całe zasadzone dyniami. Tu dziadek pracował jako nocny stróż. Z tego powodu na brak owoców nie mogliśmy narzekać. Ale tęskniliśmy do ziemniaków.

Tu nam głód nie doskwierał tak, jak w Martuk. Pamiętam, w Martuk była rzeźnia, z której specjalnymi kanałami płynęła krew zabijanych zwierząt. My, dzieci, kradliśmy tę krew, przynosiliśmy do domu, mama to jakoś gotowała i jedliśmy ją jako przysmak.

Do Polski a dokładnie do Łonży, wróciliśmy 26-go czerwca 1946-go roku. Mama przez dłuższy czas nie mogła dostać pracy.

Zaciążyły nad nami losy ojca oraz nasz pobyt na Syberii. Wreszcie znalazła zajęcie jako maszynistka. Już nie żyje. Ja mieszkam w B-toku

Notatki: 21 sierpień 2016